

DZIEWIĘTNASTKA



Miesięcznik | Nr 153

27 listopada 2016 r.

przystań

List - kiedyś bardzo ceniony i wyczekiwany, przynosił ważne informacje. Dziś przesyłka w skrzynce pocztowej zazwyczaj przypomina o rachunkach lub innych urzędowych sprawach... I choć DZIEWIĘTNASTKA, tak jak i list, jest tylko skrawkiem papieru, może jej treść skłoni do refleksji: Kiedy to się stało, że aż tak zdegradowaliśmy tę formę komunikacji i pozbawiliśmy się uczuć, które towarzyszyły otwieraniu ręcznie napisanego listu? Czy listy należą już tylko do przeszłości? W tym numerze między innymi przedstawiamy opowieści o istotnych dla ludzi wydarzeniach, które od listów się zaczęły lub na listach się skończyły.

Redakcja DZIEWIĘTNASTKI

Błyski

ROZDZIAŁ II

Tego ranka nie obudził go automat, ale wszechobecne drgania, które zawładnęły całym metalem wkoło. Eudajmon otworzył oczy i przez chwilę przysłuchiwał się dźwięcznym wibracjom, które nasilały się bardzo powoli i nieznośnie ciążyły zamroczonej głowie. Po drodze tunelem magnetycznym przeciągnęła się o parę godzin z powodu awarii promu, co spowodowało, że zaraz po dotarciu do mieszkania kuzynki niemal zasnął na stojąco. W końcu zrzucił z siebie przykrycie i usiadł na skraju materaca. Przetarł dłońmi twarz i spojrzał na wyświetlacz. Była za dziesięć czwarta. Wydał głośnie polecenie:

– Automat, włącz oświetlenie i anuluj budzik.

Odpowiedział mu syntetyczny głos:

– Przyjęłam.

Pogrążona w mroku sypialnia natychmiast rozświetliła się licznymi diodami. Eudajmon siedział na białym łóżku z twarzą skrytą w dłoniach. Otaczającą go ścianę pokrywały soczyscie zielone hologramy, które zmieniały się na wzór poruszających się liści. Przy biurku wbudowanym w ścianę stał wygodny fotel, a na nim w nieładzie leżał komplet ubrań. Mężczyzna spojrzał w tamtym kierunku i zapytał z lekką chrypką:

– Automat, o której godzinie przyjechałem wczoraj?

– Przybycie: godzina jedenasta dwadzieścia trzy wieczorem - odparł głos spod sufitu.

Eudajmon zwlekł się z łóżka i poszedł się umyć. Stał pod gorącym prysznicem ponad pół godziny, później niespiesznie się ubrał i zszedł na śniadanie. Zegar wskazywał piątą czterdzieści.

Mimo wczesnej pory w kuchni panował harmider. Implicita, jego kuzynka, próbowała pilnować grzejącego się mleka, karmić najmłodsze dziecko i szykować do szkoły dwójkę pozostałych jednocześnie.

– Gdzie twój mąż? - spytał, omijając wylaną na podłogę kaszkę.

– Zanim wstałeś, wyleciał. Przenieśli jego dział na drugi koniec stacji, jedzie się tam pół godziny dłużej.

– Mogę jakoś pomóc?

– Popilnuj małej i mleka. Odprowadzę dzieciaki na przystanek.

Implicita zapakowała pudełka śniadaniowe do plecaków starszych dzieci i wydała komendę wyjścia z domu. Po paru minutach wróciła.

– Przenieśli przystanek kolejki linowej i teraz mamy dużo bliżej - powiedziała, przelewając

mleko do miski z płatkami - Zaczynij jeść, połóż małą na górę.

Implicita wróciła, zdejmując resztki jedzenia z bluzki. Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie paczki liofilizowanego jedzenia. Wrzuciła je na chwilę do niewielkiej maszyny stojącej na blacie.

– Do kiedy zostajesz? - cisza, która panowała teraz w pomieszczeniu, była niczym balsam po hałasie związanym z wyjściem dzieci do szkoły.

– Na Wenus będzie wtedy czwartek, czyli tu niedziela. Wylecę wcześniej rano.

– Dobrze, że ja nigdzie nie jeżdżę. Gdybym musiała się zastanawiać, jaki jest dzień tygodnia czy godzina w tyłu miejscach, chyba bym zwariowała.

– Ojciec wspominał coś o ustawie o unifikacji kalendarza.

– Bez sensu - Implicita wyjęła jedzenie z maszyny i położyła je na talerzu. - Ze stacjami nie byłoby problemu, bo i tak mamy sztuczną dobę ziemską. Ale przecież rok na Wenus a rok na Ziemi to dwie różne rzeczy.

– Prawda. Najpierw myślą o ustawie, później dopiero, jak to zrobić.

– A, właśnie. Co u wujka?

– To, co zwykle. Unia, unia, unia. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, powiedział mi, że to nawet lepiej, że jadę na studia na inną planetę.

– Czemu lepiej?

– Bo będzie miał mniej na głowie - odpowiedział Eudajmon.

– To przykre.

– Wiem. Ale ojciec zawsze był przykry. Wiesz, że nie rozmawiał z Felicytą od roku? Wcale mu jej nie brakuje.

– Ale jej pewnie też nie tęskni się bardzo. Wyszła w końcu za mąż?

– Nie. I powiedziała, że nie ma zamiaru. Chce kontynuować pracę naukową. Wiesz, że myślała o sterylizacji?

– Wybij jej to z głowy! Będzie tego żałować.

– Powiedziałem jej, co o tym myślę - wycedził przez zęby mężczyzna, wybierając z dna miski ostatnie płatki. - Macie tu dobrą bibliotekę?

– Nie wiem, co rozumiesz przez dobrą. Jest duża. Wsiadasz w kolejkę 24 i wysiadasz na

stacji „Aleja Srebrnej Reformy”.

– Wrócę późno - powiedział, wstając od stołu. - Jakby co, dzwoni albo pisz.

– Tylko nie szlajaj się nie wiadomo gdzie - powiedziała kobieta z nieudawaną troską.

Kolejka przyjechała po paru minutach od przyścia mężczyzny na przystanek. W wagonie panował straszny ścisk ze względu na poranne godziny szczytu. Eudajmon wyglądał przez niewielkie okno na szare wieżowce i szklane gmachy. Zamiast nieba nad głowami wszystkich znajdowały się wielkie ekrany, które miały je imitować. Sztuczne słońce wędrowało po sztucznym niebie, co chwilę przesłaniane sztucznymi chmurami. Problemy związane z brakiem światła słonecznego zniknęły w piątym pokoleniu mieszkańców stacji. Przystanek, na którym miał wysiąść, znajdował się naprzeciwko budynku, w którym mieściła się siedziba władz stacji Dike, sąd i biblioteka. Na drugą stronę jezdnii prowadziło przejście podziemne. Księgozbiór stanowiły głównie zdigitalizowane wersje i hologramy. Pracownica, spytana o papierowe książki, niezbyt uprzejmie odparła, że są one dostępne tylko i wyłącznie za zgodą dyrektora biblioteki, który właśnie odbywał podróż służbową. Zniechęcony mężczyzna wyszedł z budynku i wybrał się na przechadzkę. Główne arterie stacji były zbyt hałaśliwe, by spacerować po nich z przyjemnością, skreślił więc w jedną z węższych i cichszych uliczek. Jego uwagę przykuła jedna z witryn sklepowych, na której w równym rzędku poukładane były kolorowe filiżanki. Szklane drzwi sklepu otworzyły się same, gdy tylko Eudajmon podszedł do nich. Za drewnianym stolikiem siedział starszy mężczyzna i czytał książkę. Papierową książkę.

– Dzień dobry. Co dostanę w tym sklepie?

– Antyki, starocie, pamiątki z Ziemi. Szuka pan czegoś konkretnego?

– Nie, tylko przechodziłem. Spodobały mi się filiżanki z wystawy.

– A, prawda, piękne są. To styl art deco. Najstarsza z nich ma ponad trzysta lat.

– Jakim cudem dotrwały do dzisiaj? Przywieziono je na Dike z pierwszym transportem?

– Nie wiem. Odkupiłem je od jakiegoś mło-

dzieniaszka, który zbierał na skuter. Może zabrał babci?

– Ile kosztuje tamta ze złotym brzeźkiem?

– Ta biała? Trzysta.

– Trzysta? - spytał Eudajmon, nie kryjąc zdziwienia.

– To jedna z tańszych - odpowiedział starszy mężczyzna, uśmiechając się.

– Nie dam więcej niż dwieście dwadzieścia.

– A ja nie wezmę mniej niż trzysta.

– To o wiele za dużo.

– Trzysta dwadzieścia.

– Przed chwilą było trzysta! - Eudajmon był zdumiony ofertą sprzedawcy.

– Trzysta trzydzieści.

– Chyba pan zwariował! Przecież to rozbój w biały dzień!

– Trzysta czterdzieści.

– Dobrze, dobrze. Wezmę za trzysta. Moja strata.

– Jak miło robi się z panem interesy - starzec nie ukrywał rozbawienia. - Proszę wczytać chip, ja zapakuję filiżankę.

Zapłaciwszy należną kwotę, Eudajmon zabrał pakunek i wyszedł ze sklepu. Na wagonik kolejki musiał czekać dłużej niż wcześniej. Gdy wrócił do mieszkania swojej kuzynki, zastał ją drzemającą w fotelu. Delikatnie włożył filiżankę do zlewu i zalał ją wodą ze środkiem do mycia. Zielonkawa piana pokryła powierzchnię wody. Poszedł na górę, zdejmując bluzę i rzucił się na swoje łóżko. Zasnął niemal od razu. Z drzemki wybudziły go krzyki dzieci, które najwyraźniej wróciły już ze szkoły. Przypomniało mu się, że zostawił filiżankę w zlewie, zszedł więc na dół, by ją opłukać i wysuszyć. Przechodząc przez próg kuchni, prawie poślizgnął się na zostawionym tam pluszaku. Zobaczył dwoje starszych dzieci Implicity, które stały przy stole i droczyły się, które z nich lepiej celuje. Nagle jedno z nich wzięło ze stołu łyżeczkę i zanim Eudajmon zdążył zareagować, rzuciło ją do zlewu. Rozległ się przesywający dźwięk tłuczonego szkła, po którym nastąpiła ciężka cisza. Mężczyzna podszedł do miejsca, w którym zostawił filiżankę. Znów była tam piana, co znaczyło, że ktoś dokładał naczyni. Eudajmon sięgnął pod wodę, jednak szybko wyciągnął

dłoń i przyłożył palec do ust.

– Co jest? - spytała Implicita.

– Szkaleszyłem się - odpowiedział niewyraźnie. - Tam jeszt moja filiszanka.

Z westchnieniem, przygotowany na najgorsze, zanurzył rękę głęboko w pianie. Delikatnie wyciągnął rozbitą szklankę. Piękna filiżanka była nietknięta, tak, jak i spodeczek. Opłukał je i wysuszył ściereczką, po czym odstawił na miejsce będące poza zasięgiem dzieci. Przechodząc ponownie przez kuchnię, trzepnął w tył głowy dziecko, które rzuciło sztućcem, i bez słowa wrócił na górę.

Ignacy

Gołębie pocztowe

Szybciej, szybciej, szybciej! Która godzina? Osiemnasta. No nie, znowu się spóźnię! Szybciej, szybciej! Ale jak to się stało? Przecież wyszłam o siedemnastej! Kurde! No i oczywiście pada! Co za pech! Szybciej, szybciej! O nie, ogromna kałuża! Ominąć z prawej czy z lewej? Z prawej... Nie, z lewej będzie szybciej... dobra, jednak z prawej! Oj, ostry zakręt...

No nie! I oczywiście musiałam się poślizgnąć. Nie dość, że spóźniona, to jeszcze będę cała mokra! Za co mnie to spotyka? Może nie pójdę...? Oszczędziłabym sobie wstydu. Tak, tak zdecydowanie nie warto! Zawracam. Ale co z mieszkaniem? Nie, nie mogę tego tak zostawić! Muszę iść...

I jeszcze ten gołąb... Co za pomysł, żeby stawiać gołębia na środku miasta?! Absurd! Zajmuje połowę rynku! Co się patrzysz? Też jesteś mokry! Dobra, najwyższy czas wstać! Może jeszcze mnie przyjmą. Szybciej, szybciej! Uwaga, kolejna kałuża...

– Mam już kwiaty, pierścionek, czekoladki. Wszystko dopięte na ostatni guzik. Musi być idealnie! Gdy przyjdę pod Gołębia...

– Pod Gołębia?

– Tak pod ten pomnik gołębia, który stoi na środku rynku. Gdy tam przyjdę, ona będzie już siedzieć na ławce, zawsze przychodzi wcześniej, bo nienawidzi być spóźniona, i będzie czytać bajki Krasickiego, jeżeli ma dobry humor albo treny Kochanowskiego, jeżeli jest smutna. W pierwszym przypadku podbiegnę i z zaskoczenia pochwycę ją na ręce, w drugim – podejść spokojnie i, nic nie mówiąc, usiądę obok niej. Potem pójdziemy do restauracji. Usiądziemy przy dwuosobowym stoliku na antresoli. Ona zamówi sałatkę i podwójne ciasto czekoladowe, a ja makaron z owocami morza i tartę cytrynową. Gdy już zjemy, zawiążę jej oczy i zaprowadzę ją z powrotem pod gołębia. Tam wyjmę pierścionek i oświadczę się jej. Ułożyłem nawet wiersz na tę okazję.
– Trzymam kciuki!

– Mamo, mamoo, mamoo, gołąb zabrał nam piłkę!
– Słucham?
– Gołąb zabrał nam piłkę!
– Piotruś, tyle razy ci mówiłam, żebyś nie zmyślał.
– Ale, ale mamoo, pomóż nam, proszę!
– Piszę bardzo ważny projekt.
– Proszę, proszę, proszę...
– No dobrze, już dobrze, gdzie jest ten straszny gołąb?
– Jest na rynku. Graliśmy z Maćkiem w piłkę. Za mocno kopnąłem, piłka wyleciała z boiska i wylądowała między głową a skrzydłem gołębia. Jest za wysoko dla nas i nie potrafimy jej zdjąć.
– Już wam pomagam, nie ma sprawy.



Ludzie listy piszą

– Wszyscy są? Dobrze, w takim razie ruszamy. Za mną, dzieci! – krzyknął pan przewodnik i machając nad głową parasolem ruszył żwawo w kierunku rynku.

– Proszę pana! Proszę pana! A co teraz będziemy zwiedzać? – zawołał Jaś.

– Pokażę wam bardzo interesujący pomnik.

– Pomnik? – w głosie chłopca czuć było rozczarowanie.

– A nie ma tu jakiegoś średniowiecznego zamku? – zapytał z nadzieją, za co Pani Malwina, nauczycielka, skarciła go i kazała wracać do reszty dzieci.

Doszli na rynek. Niebo, które już od rana nie zapowiadało ładnej pogody, ostatecznie się zbuntowało. Zaczęło padać. Wśród dzieci wybuchło zamieszanie. Kinia nie mogła znaleźć kurtki, Helenka płakała, bo nie umiała otworzyć parasola, Jacek w ramach dowcipu wyciął koledze dziurę w pelerynie, Kacper uciekł w stronę najbliższej restauracji, by schronić się przed deszczem, a Ania usiadła na ziemi i powiedziała, że dalej nie idzie. Pani Malwina dopiero po dobrych kilku minutach bieganina i krzyczenia zebrała wszystkie dzieci pod pomnikiem, a wtedy pan przewodnik zabrał głos.

– Pomnik ten został wzniesiony w 1960 roku. Ufundował go jeden z tutejszych mieszkańców, pan Jacek, który w czasie drugiej wojny światowej służył w wojsku. Podczas jednej z akcji pan Jacek i jego oddział zostali otoczeni przez przeciwnika. Radio nie działało, sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Śmierć była blisko i wtedy żołnierze zdecydowali się wysłać gołębia pocztowego z prośbą o pomoc. To małe zwierzę ubrew obawom żołnierzy wykonało swoje zadanie i byli uratowani! Pan Jacek z wdzięczności wybudował mu pomnik. Uroczystości odsłonięcia odbyły się...

Ale dzieci już nie słuchały przewodnika. Początkowe zainteresowanie opowiadaną historią ustąpiło miejsca zainteresowaniu tym, co działo się dookoła. A działo się dużo: oświadczyły, bieg przez kałuże i akcja ratunkowa piłki.

Lolka

Pokój był rzadko używany, ale nie oznaczało to, że był zaniedbany. Caterina osobiście pilnowała, by zawsze był gotowy do ewentualnego użytku. Na początku, jak zwykle, odsunęła ciężką, żółtą tkaninę, odsłaniając tym samym mapę Flandrii, którą swego czasu powiesił na ścianie jej małżonek. Ta tkanina jest za sztywna, pomyślała, nawet delikatne frędzle na jej skraju tego nie zmieniają. Należy ją jak najszybciej wymienić. Po chwili, za pomocą specjalnie zagiętego drąga, odsunęła nad dopiero co otwarte okno adamaszkową zasłonę, myśląc przy okazji, że ta prezentuje się o niebo lepiej. Tak, znacznie bardziej podobały jej się nowe, lekkie tkaniny sprowadzane z dalekiej Italii. Nawet jej strój, bardzo tradycyjny, był przecież uszyty w tej odległej krainie; na prowincji, choćby i bogatej, nie można było dostać dobrej jakości materiałów. Właśnie zdejmowała ze stołu ciężką, wzorzystą narzutę, gdy przyniesiono list. Z porzuconej misy wytoczyły się owoce, a Caterina niecierpliwie otwierała kopertę. Jak zawsze uśmiechnęła się na widok znajomej kaligrafii siostry. Biedaczka, westchnęła, na wsi musi być jej ciężko, zwłaszcza mając do wykarmienia sześciu synów. Kto wie, może teraz, po tylu latach, wreszcie urodzi córkę? Jej zamyślona twarz odbijała się w szybkach okna, wpuszczających do pokoju ostatnie promienie słońca.

Anno! Anno! Proszę, przestań na chwilę pisać. Spójrz na mnie, uśmiechnij się. Powiedz, co cię tak zaabsorbowało? Tak, wiem, nie powinno mnie tu być, jeszcze za wcześnie na wizyty. Ależ skąd, wcale nie uważam, że jesteś ubrana nieodpowiednio na przyjmowanie gości. Wiesz, że dla mnie zawsze jesteś piękna. No dobrze, lepiej powiedz mi, do kogo piszesz? Wyjęłaś ze szkatułki wszystko, co potrzebne do pisania, nie oszukasz mnie. Czyżbyś pisała do swej uroczej siostry? Wyobrażam sobie, że tuż po obudzeniu zapragnęłaś jak najszybciej poinformować ją o czymś ważnym. Zapewne się spieszyłaś, stąd ten zagięty materiał oraz perły, którymi dopiero przyozdo-

bisz swoją szyć. Spójrz, w twym pokoju wciąż panuje lekki półmrok. Może pomóc ci odsłonić tę ciężką kotarę? Muszę przyznać, że bardzo mi się podoba, pasuje do tego wnętrza. No, gotowe. Tak lepiej, prawda? Skoro już mówimy o wystroju, powinnaś powiesić tu inny obraz. Podoba ci się? W takim razie zostaw go. Czy potrzebujesz pomocy w zestruganiu pióra? To naprawdę żaden problem, widzę, że jest tępe, nie będzie ci łatwo

takim pisać. Jeszcze tylko przysunę sobie krzesło – i gotowe. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci moja obecność. Lubię patrzeć, jak piszesz.

Jan Vermeer van Delft, Czytająca list, ok. 1657, Gemäldegalerie, Dreźnie

Jan Vermeer van Delft, Kobieta pisząca list, ok. 1665, National Gallery of Art, Waszyngton

La Donna Velata

Adres

Gdy parę lat temu przeprowadzaliśmy się do tego domu, nie miałem żadnych wątpliwości, że będzie to najgorsze, najbrzydsze i najbardziej nieciekawe miejsce do mieszkania na świecie. Daleko od centrum, mało budynków dookoła, do pętli tramwajowej idzie się dziesięć minut. Dom, w którym zamieszkaliśmy, pochodził z dwudziestolecia międzywojennego. Składał się z dwu kondygnacji, piwnicy i niewielkiego poddasza. Przypominał nieco Kossakówkę, jednak był zdecydowanie mniejszy i w nieco lepszym stanie. Słowa „nieco” użyłem celowo. O ile dach i okna domu były odnawiane przez poprzednich właścicieli, o tyle ogrzewanie było niewydajne, a do pokoi, nie wiadomo skąd, wpadał wiatr. Wskutek tego byłem skazany na wilgoć i chłód. Pierwszy tydzień po wprowadzeniu się był dla mnie koszmarem. Malowanie, sprzątanie, czyszczenie cegieł. Skręcanie mebli, mycie okien i znowu sprzątanie. Zanim ojciec uruchomił kotłownię, do łóżka ubierałem się w spodnie od dresu i dwie bluzy. Po jakimś czasie przyzwyczałem się do nowego miejsca, jednak wciąż miałem rodzicom za złe, że zdecydowali się wywieźć nas na obrzeża miasta.

W pewien letni, sobotni wieczór, parę miesięcy po przeprowadzce, postanowiłem zwiedzić strych domu. Stare budynki, tajemnicze poddasza, ukryte skarby – nie sposób czegoś nie znaleźć. Samo wspięcie się po spróchniałej drabince było nie lada wyczynem.

Znalazłem się w najwyższej części domu. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i kurzu. Przez małe okienko do wnętrza wlewało się pomarańczowe światło, jednak było go za mało, by widzieć wyraźnie. Sięgnąłem do kieszeni po telefon. „Masz trzy nowe wiadomości” „Łucja pisze: stary nie mam za...” „Użytkownik Artur Koniecpolski skomentował...” Później odczytałem. Włączyłem latarkę i rozejrzałem się. Wszędzie pełno było pajęczyn i kłębow kurzu. Jedynie pod skosem, po drugiej stronie pomieszczenia, leżało parę staroci: buty Relax, pudełko po żelazku, taborety – jeden na drugim, parę zielonych butelek i metalowa puszka. Właśnie ona przyciągnęła moją uwagę. Wyglądała na najstarszy z przedmiotów. Wieczko ustąpiło dopiero po paru próbach otworzenia. W środku zobaczyłem spory pęk związanych sznurkiem kopert. Rozwiązałem supełek, usiadłem na ziemi i położyłem listy na kolanach. Wszystkie były zaadresowane jednakowo: „Liliana Wierchowicz, ulica Gajówka 3”. Co ciekawe, żaden z nich nie był otworzony. Nawet naderwany, nic! Daty na stemplach były różne. Najstarszy list nadano 5 maja 1967, najpóźniejszy – 7 maja 1973 roku. Po co komu te listy? Czemu nie otworzone, czemu schowane, kto je posegregował? Kierowany ogromną ciekawością otworzyłem pierwszy i zacząłem czytać półgłosem:

Piękna Lilianko, kochana Lilianko!

Ledwo wczoraj widziałem Cię ostatni raz, a już nie mogę wytrzymać. Każda moja myśl jest Tobą, każdy oddech jest jak Twój oddech.

Wszystko przypomina mi o Tobie. Zostawiłaś u mnie kościany grzebyk. Nie przyślę Ci go, nie ma mowy. Przyjedziesz po niego...

W tym miejscu przerwałem lekturę. Nie dość, że łamałem prawo, czytając cudzą korespondencję, to jeszcze była to korespondencja miłosna! Poczułem, jak krew pulsuje mi pod policzkami. No ładnie, Ignacy się rumieni. Dobrze, że na strychu nie było nikogo innego. Popatrzyłem na kartkę pokrytą pięknym pismem. „Skoro jestem tu sam – pomyślałem – to nikt nie będzie wiedział, że łamię prawo...” Mój wzrok powrócił na kartkę.

...choć do tej pory znajduję kawałki tej wazy między deskami podłogi. Wiesz, jak ją lubiłem, niecnoto! A wczoraj na kołdrze znalazłem Twoje włosy. Pościel wciąż pachnie Tobą...

Jęknąłem cicho i pospiesznie wepchnąłem list do koperty. Nie ma mowy, nie czytam dalej. Wszystkie koperty wypisane były tym samym

charakterem pisma. Trzymałem w dłoniach historię czyjegoś uczucia, nowych Heloizę i Abelarda, czyjś cały świat. Słońce zaszło już chwilę temu, między deskami przeciskał się chłodny, wieczorny wiatr. Zadrżałem – nie wiem, czy z zimna, czy z ciekawości. Rozerwałem kolejną kopertę i zacząłem czytać tak łapczywie, jak spragnieni ludzie piją wodę. Liliana w oczach mężczyzny podpisującego się „W.” zdawała się być bóstwem lub świętą. Kolejne listy były jednak coraz smutniejsze i bardziej stonowane. „Słodka Lilianka” powoli zamieniała się w „Liliankę”. Ta zaś, już parę listów później, przemieniła się w „Lilianę”. Robiło się już bardzo późno, więc postanowiłem przeczytać ostatni list z 7 maja 1973 roku.

Liliano,

Dziś dowiedziałem się, że dałaś mi fałszywy adres.

W.

Ignacy

Fiołki

Feliks siedział zmęczony przy stole, chociaż był dopiero poranek. Wstał z ociąganiem i podszedł do kuchenki. Zapalił zapalkę i, przycisnąwszy kurek gazu, rozpalil palnik. Postawił na nim ciężki, wypełniony po brzegi wodą, emaliowany czajnik z gwizdkiem. Czekał aż woda się zaparzy, znowu usiadł przy stole i westchnął. Na białym obrusie stał bowiem, jak zawsze, dzbanuszek z fiołkami, ale też pewnego rodzaju nowość... Otóż poprzedniego dnia przysłała do Feliksa paczka. Bez informacji o nadawcy. Ponieważ Feliks był doświadczonym człowiekiem i przeżył już wiele, bał się otwierać takie „prezenty”. Kiedy ostatnio popełnił takie szaleństwo, żałował tego przez następne pięćdziesiąt lat. Ale Feliks zna tylko jedną rodzinę, która się nie podpisuje na przesyłkach. I właśnie dlatego tak bardzo bał się tej konkretnej przesyłki. Leokadia Urnys zawsze chciała pozostać anonimowa, zawsze tak ciężko było ją znaleźć... Może właśnie przez tą swoją tajemniczą obecność i nienachlaną postawę tak po-

ciągała Feliksa? Grunt, że udało im się znaleźć wspólny język. Często chodzili na łączkę za zagajnikiem, tam, gdzie teraz stoją betonowe biurowce. Kiedyś było tam pełno fiołków... Lea po każdym spacerze zrywała jednego i wplatała go we włosy. Nigdy nie widział, co z nimi potem robiła, ale taki był już ich zwyczaj. Nawet gdy się spotykali w innym miejscu, bukietek fiołków był obowiązkowy. Rozmawiali na wiele tematów, a i tak przy każdym rozstaniu wydawało im się, że jeszcze nie skończyli, bo wciąż pojawiały się nowe. Mieli też chwile milczenia. Wtedy trwali w ciszy i w szczęściu. Leokadia dodawała mu siłę, dlatego tak bardzo bolało go jej odejście. To było dwa tygodnie po ich zaręczynach, a miesiąc po tragicznej śmierci jej rodziców. Przyszedł list. Bez nadawcy, niestety. Otworzyli go razem. Ciotka Leokadii zapraszała ją i jej młodszą siostrę do siebie, do Stanów, pod warunkiem, że zerwie zaręczyny i już nigdy nie wróci do domu. Biedna Lea, chcąc zapewnić dobre życie siostrze, wyjechała bez poze-

gnania. Tak po prostu z dnia na dzień. Nie zerwała zaręczyn. Nie odezwała się ani słowem. Nic.

A teraz ta paczka.

Rozmyślenia Feliksa przerwał gwizd zagotowanej wody. Kiedy zaparzył sobie herbatę i upił łyk, podjął decyzję. Przysunął paczkę i drżącymi dłońmi zaczął rozplątywać sznurek. Kolejny łyk herbaty. Odwijanie następnych warstw papieru pakowego. Jest! Jego oczom ukazał się opasły, zniszczony zeszyt. Na nim leżał list. Feliks dopiero teraz zauważył, że przez cały ten czas wstrzymy-



wał oddech. Odetchnął. Napił się herbaty. List składał się łącznie z dziesięciu kartek. Bez nadawcy. Zaczął czytać. List pisała chrześnica

Lei, córka jej siostry – Diana. Dowiedział się, że odkąd jego ukochana przyjechała do ciotki, ta przez cały czas próbowała ją bezskutecznie wydać za mąż. Starsza pani nie przypuszczała bowiem, że Leokadia przyjedzie do niej, nie zerwawszy zaręczyn. Ona jednak nie chciała słyszeć o zamążpójściu. Zaraz gdy nauczyła się języka, poszła do pracy i odkładała każdy grosz na edukację swojej siostry. Zgorszona ciotunia nie chciała posłać młodszej do szkoły, bo uważała, że wtedy stanie się tak samo pyskata, jak jej starsza siostra. Nie przeszkadzał jej jednak młody wiek dziewczyny, by proponować jej w wieku trzynastu lat małżeństwo. Prawda była taka, że ciotka chciała zarobić na dziewczynach, a konkretnie na ich przyszłych majątkach. Leokadia, odłożywszy pewną sumę, kupiła małe mieszkanie i, choć żyły bardzo

skromnie, zapisała siostrę do szkoły. Kiedy ją skończyła, od razu podjęła pracę jako nauczycielka. Kilka lat później poznała swojego przyszłego męża, ojca Diany. Oboje zginęli podczas pożaru trzy lata po narodzinach córeczki. Lea uratowała dziewczynkę i wychowała ją w pamięci dla zmarłych rodziców. Sama nigdy nie wyszła za mąż. Diana dorosła i założyła własną rodzinę. Była w ciąży z drugim dzieckiem, kiedy Leokadia zmarła. „Zostawiła po sobie notes, który, jak mi się wydaje, powinien trafić do Pana.”

Feliks machinalnie sięgnął po zeszyt. Trzymał go w dłoniach jak relikwię. Ledwo do niego docierało to, co właśnie przeczytał. Otworzył pierwszą stronę. Był tam jego adres. Przewrócił kartkę – jego zdjęcie z młodości, obok wiersz, który go opisywał. Na kolejnej zasuszony fiołek i nowy wiersz, och, tak! Dokładnie o tym rozmawiali na ich pierwszym spotkaniu! Przewrócił kilka następnych kartek. Zapach fiołków wypełnił kuchnię. Każde ich spotkanie – opisane wierszem! Dotarł za połowę. Tam kończyły się zasuszone kwiaty. Tu co stronę włożona była koperta bez adresu. Otworzył pierwszą, przeczytał. Nie mógł powstrzymać łez. W liście znalazł potwierdzenie słów Diany. Leokadia opisywała swoją historię. Preczytał wszystko – listy i wiersze. Na końcu znalazł obrazek przedstawiający najpewniej Leokadię.

Feliks otarł łzy spływające mu po policzkach. Popatrzył na zimną już herbatę, ale zrezygnował z wypicia jej. Oparł się w fotelu i zamknął oczy. Przez jego twarz przemknął uśmiech. Teraz już mogli rozmawiać bez końca.

zapałka

ZAPROSZENIE

Chcielibyśmy wszystkich Państwa zaprosić do odwiedzenia wystawy „105 lat w harcerskim mundurze”. Mieści się ona w budynku Muzeum Armii Krajowej przy ulicy Wita Stwosza 12 w Krakowie. Można ją odwiedzać do 22 lutego 2017 roku.

Zachęcamy!

DZIEWIĘTNASTKA

Dominikańskie Duszpasterstwo Młodzieży "Przystani" przy klasztorze OO. Dominikanów w Krakowie
ul. Stolarska 12, 31-043 Kraków | redakcja19@gmail.com | przystan.krakow.dominikanie.pl

Opieką redakcyjną: o. Marek Rozpłochowski OP Redaktorki naczelne: Monika Chaberka, Wanda Heydel

Rysunki: Jadwiga Ligęza, Monika Chaberka

Teksty: Natalia Stanisławek, Karolina Chłopicka, Monika Chaberka, Zuzanna Ruszar

Korekta: Magdalena Łopata Skład: Patrycja Stachelska